ROZDZIAŁ 8

Adam Bełda

Zobaczyć niebo

monkizz
2012

Eliza wiedziała, że postępuje źle. Była przygotowana na to, że jeżeli tylko nie uda jej się niepostrzeżenie wrócić do domu, mama będzie zła. Dziewczynka nie lubiła, kiedy mama była zła – wiedziała, że inne dzieci słuchały swoich rodziców – oczywiście jeśli miały szczęście ich mieć – tylko dlatego, żeby nie dostać kary, jednak ona była posłuszna wyłącznie ze względu na samopoczucie swojej matki. Po prostu bardzo nie lubiła, kiedy ta, i tak obdarzona chyba najsmutniejszymi oczami na świecie, kobieta załamywała ręce i z rezygnacją kręciła głową, pozwalając dodatkowym kaskadom smutku wylewać się z tęczówek.

Ale musiała postąpić wbrew nakazom i bardzo surowym zakazom obowiązującym wszystkich mieszkańców schronu, w szczególności takie dzieci jak ona. Nie wiedziała, jak długo jeszcze potrwa oczyszczanie się atmosfery i te wszystkie bzdury, o których dorośli nie mówili młodszym, a które – sądząc po ich minach, kiedy szeptali do siebie – były najważniejszymi rzeczami na świecie. A dopiero kiedy proces się zakończy, dziewczynka będzie mogła zupełnie legalnie wyjść spomiędzy dodatkowo wzmacnianych, groteskowo grubych ścian i zobaczyć niebo.

Niebo. Eliza słyszała o nim więcej bajek niż o czymkolwiek innym, co istniało na zewnątrz. Po części dlatego, że na zewnątrz nie było poza tym nic interesującego – i przekonała się o tym sama, godzinami wpatrując się w jedyne dostępne jej okno, które niestety ustawione było pod takim kątem, że choćby patrzyła na nie ze wszystkich stron, nie dała rady dostrzec tego, co kryje się za wielkim, wciśniętym obok schronu budynkiem. I to było właściwie wszystko, co miał do zaoferowania świat poza schronem – walące się, czarne od jakiegoś dziwnego, prawdopodobnie trującego osadu szkielety budynków chaotycznie rozrzucone pomiędzy karłowatymi, powykręcanymi w dziwaczny sposób drzewami, zupełnie niepodobnymi do tych majestatycznych, zielonych, uginających się od jabłek, jakie widuje się na obrazkach książek.

Pozostawała tylko jedna warta obejrzenia rzecz. Właśnie niebo. Było wielkie, błękitne, być może nieskończone, choć dziewczynka nie była sobie w stanie wyobrazić, czym właściwie jest ta nieskończoność. Pływały po nim podobne do baranków – te widziała tylko raz, na bardzo starym, zdjęciu, ale niesamowicie się jej spodobały – chmury, w które podobno godzinami można się było wpatrywać, wyobrażając sobie co właściwie przypominają.

Eliza musiała to zobaczyć. To było w tej chwili najważniejsze postanowienie w jej życiu i niedotrzymanie go z tak błahego powodu jak

fakt, że dorośli nie pozwalają opuścić schronu byłoby karygodne. Zwłaszcza, że na zewnątrz już było bezpiecznie – sama przecież widziała jak na zewnątrz wychodzili ludzie bez kombinezonów, trzymający w rękach śmieszne latarki i małe, wyposażone w sprzęt pozwalający na nagrywanie w doskonałej jakości trójwymiarowych filmów, komputerki do zbierania danych. Owszem, kiedy wracali, zachowywali się dziwnie, szeptali coś nerwowo i w żadnym wypadku nie wspominali o swojej wędrówce ani słowa dzieciom, ale przecież, skoro zdecydowali się na opuszczenie wentylowanego i wolnego od promieniowania bunkra, powietrze nie może już zrobić Elizie krzywdy.

A wszystko poza powietrzem było nieważne – przed dzikimi bestiami i wszystkim innym bez problemu ucieknie, czyż nie?

– I co, wyjaśniliście już te wszystkie dziwne zjawiska? – rozległ się nagle całkiem blisko męski głos. Głos, którego właściciel na pewno nie pozwoliłby małej dziewczynce opuścić schronu.

Eliza, niewiele myśląc, szarpnęła za klamkę szafki, która stała obok. Znajdowała się właśnie w ostatnim przystanku przed śluzą pozwalającą wyjść na powierzchnię, wcześniej bez problemu minęła strażników – niezbyt przykładali się do swojej pracy, w końcu kto chciałby opuszczać bezpieczny, dobrze chroniony bunkier tylko po to, żeby zobaczyć ohydny, zniszczony wojną świat? Myślała, że teraz wystarczy tylko wcisnąć przycisk i wyjść, w życiu nie wpadłaby na to, że teraz coś może jej przeszkodzić.

– Ciągle nad tym pracujemy. Najpopularniejsza hipoteza mówi, że w powietrzu nadal coś jest. Coś, co miesza ludziom w głowach. Sam rozumiesz, halucynacje i wszystkie podobne bzdury. – Głosy rozmawiających znajdowały się coraz bliżej.

Szafka, którą przed chwilą otworzyła dziewczynka, okazała się być prawie pusta. Na samym dnie leżał złożony z idealną dokładnością kombinezon, ponad nim zaś rozpościerała się niezbyt duża, ale całkowicie wystarczająca przestrzeń. Eliza, mając nadzieję, że rusza się dostatecznie szybko, schyliła się i położyła dłonie na podłodze. Raczkując jak małe dziecko wpełzła do plastikowego schowka, po czym niezdarnie odwróciła się i chwyciła za drzwiczki. Nie miały od wewnątrz żadnej klamki, więc po prostu pociągnęła je, po czym, gdy nadała im stosunkowo dużą prędkość, puściła, mając nadzieję, że to wystarczy, żeby je zatrzasnąć. I że ów trzask nikogo nie zaalarmuje.

– Nie wydajesz się tym zbyt przekonany – odezwał się drugi z rozmawiających mężczyzn.

– Wszystko brzmi bardzo ładnie, problem w tym, że żadne analizy nie wykryły kompletnie niczego w powietrzu. A ten cały syf, który pokrywa ziemię, owszem, ma w sobie całkiem sporo trucizn i onkogenów, ale niczego, co mogłoby wywołać omamy – wyjaśnił pierwszy z nich dokładnie w momencie, w którym szafka się zamknęła. Szczęśliwie, nie zrobiła tego na tyle głośno, by ktokolwiek zwrócił na to uwagę, choć Elizie dźwięk plastikowych drzwiczek uderzających w zamek wydał się hukiem nie mniejszym niż eksplozja bomby atomowej.

– Ale używamy starego sprzętu laboratoryjnego, jeszcze sprzed wojny. Mógł coś pominąć.

– Zgoda, zwłaszcza że to może być pozostałość po jakiejś tajnej broni. Wiesz, jak te taktyczne głowice neutronowe – stwierdził jeden z mówiących.

Słowom towarzyszył już doskonale słyszalny odgłos kroków. Dziewczynka, mimo iż nie mogła zobaczyć prowadzących dyskusję mężczyzn – półmrok panujący w szafce dało się łatwo przebić wzrokiem, ale zgniła zieleń drzwiczek okazała się znacznie odporniejszym optycznie materiałem – była pewna, że właśnie weszli w korytarz, w którym jeszcze przed chwilą stała.

– Więc w czym problem? – Rozmowa ciągnęła się dalej.

– Trudno to opisać. Ty możesz się śmiać, ale ja po prostu tam byłem. Czułem to. To nie był zwykły haj, wierz mi. Czasem zdarzało mi się przyćpać, zwłaszcza przed wojną, wtedy trzeba się było czasem uspokoić, jeśli wiesz co mam na myśli. Jedni wybierali alkohol, inni rzucali się w wir pracy, a tacy frajerzy jak ja sięgali po narkotyki. Od kokainy aż po kwas. Trudno to wyjaśnić, po prostu uwierz, że potrafię odróżnić wizję narkotyczną od czegokolwiek innego. I to nie była ona. – Na chwilę wszystko, łącznie z tupaniem, ucichło, a po chwili poirytowany głos pierwszego z mężczyzn dorzucił:

– Jaki był kod do tych drzwi? Zawsze zapominam.

– 7445 – zaraportował drugi – to głupie zabezpieczenie. Tak jakby ktoś chciał stąd uciekać.

– To przecież logiczne. Każdy by chciał wyjść z ciepłego, przytulnego schronu na radioaktywne ruiny – plunął ironią jeden z rozmówców.

„Może nie każdy” – pomyślała Eliza – „ale ja na pewno”. W dodatku los jej sprzyjał. W życiu nie wpadłaby na to, że drzwi mogą być chronione szyfrem, wydawało jej się, że dwójka leniwych, oglądających przedwojenne broszurki z paniami w strojach kąpielowych strażników w zupełności wystarczy. Bo przecież, jak zauważyli ci dyskutujący faceci, mało kto ma ochotę wyjść. A nawet gdyby – to przecież jego sprawa, nikogo nie trzyma się tu wbrew woli. A przynajmniej tak się jej wydawało.

Po krótkiej sekwencji tonów klawiszy szyfrowego zamka rozbrzmiała symfonia mechanizmów otwierających ogromny właz. Dziewczynka słyszała ją po raz pierwszy i wrażenie to zupełnie rozminęło się z jej wyobrażeniami – myślała, że to będzie ogłuszające buczenie, jak ryk odkurzacza, który zepsuł się tydzień temu mamie. Tymczasem do jej uszu doszedł melodyjny i niezbyt głośny szum, podobny trochę do dźwięku, jaki wydaje gąbka zmazująca w przedszkolu tablicę.

Mężczyźni wyszli. Eliza musiała odczekać jakiś czas, żeby się na nich nie natknąć. Nie mogła jednak siedzieć w tej szafce zbyt długo – a nuż komuś przyjdzie do głowy wyjąć kombinezon, na którym siedziała? Zresztą, mimo iż nie wiedziała, ile dokładnie trwają wyprawy na zewnątrz, wydawało jej się, iż nie są aż tak rozciągnięte w czasie, by zbytnio zwlekając nie narażała się na spotkanie powracających ze swojej eskapady dyskutantów. Potrzebne więc było wyczucie.

Siedziała więc, usadowiwszy się wygodnie na grubym, szorstkim kombinezonie, myśląc o tym jak to będzie po raz pierwszy zobaczyć niebo. Nie liczyła na to, że ujrzy jakąś inną ciekawą rzecz, to prawdopodobnie nie mogło mieć miejsca – wszystko, co kiedyś było piękne na zewnątrz, zostało dawno zniszczone, pochłonięte przez bombardowania i wyrwaną spod kontroli broń biologiczną i chemiczną. Nie wiedziała dlaczego tak się stało, nie znała też dokładnego mechanizmu dokonywania zniszczeń – dzieciom w jej wieku oszczędzało się jeszcze zarówno nudnych lekcji historii o polityce i podłożu społeczno–ekonomicznym wojny jak i zbyt szokujących czy brutalnych faktów. Mówiło się im tylko, że schron jest dobrym miejscem, a świat zewnętrzny dawno temu został zamieniony w niebezpieczną ruinę. I pod żadnym pozorem nie wolno się tam zapuszczać. Nawet dorośli nie mogli wychodzić, tylko czasem, w specjalnych skafandrach, i to na bardzo krótki czas.

Od dwóch czy trzech lat jednak te zasady stawały się coraz bardziej przestarzałe. Przecierały się, nie mogąc wytrzymać próby czasu i

niesamowitych wręcz zdolności natury do samooczyszczania. Powietrze stawało się coraz bardziej przejrzyste – i to Eliza mogła dostrzec patrząc przez okno – zanieczyszczenia coraz mniej groźne, a promieniowanie powoli zbliżało się do względnie bezpiecznego poziomu. Oczywiście, miną jeszcze długie dekady zanim świat wróci do swojej dawnej, olśniewającej majestatycznym pięknem postaci i zanim będzie się dało na nowo na nim osiedlić, ale powoli zaczęto opuszczać schron i urządzać sobie dłuższe, czysto odkrywcze, wędrówki.

Ludzie chcieli wiedzieć co się zmieniło, jak wielkie były zniszczenia dokonane w okolicy przez wojnę. Niektórzy jeszcze nawet pamiętali jak to było przed całym tym zamieszaniem, trudno im się więc dziwić że, zwłaszcza jeśli byli już zbyt starzy, by mieć szansę na oddelegowanie do ekipy wyruszającej na oględziny śmiertelnie ranionego świata, potrzebowali informacji, których tylko grupy opuszczające bunkier mogły dostarczyć. Tych z każdym dniem było coraz więcej – zmieniało się też ich wyposażenie, kombinezony zaczynały odchodzić do lamusa, a ciężka broń, jaką początkowo ze sobą taszczyli, powoli wracała tam gdzie jej miejsce – do najgłębszych, najrzadziej sprawdzanych zakątków magazynów. I choć nadal to, co nie mieściło się w ścianach schronu, uważane było za zatrutą ruinę, widać było wyraźnie, że ludzie powoli – bardzo powoli – zabierają się do odbudowy dawnego ładu.

Ale zanim do końca go odbudują może minąć wiele czasu. Zbyt wiele, a ciekawość, jaką w umyśle Elizy wytworzyły enigmatyczne opowieści o nieskończonym, bezkresnym błękicie nad głowami nie mogła długo czekać. Była jak wygłodniała bestia, bez przerwy szarpiąca delikatny mózg dziewczynki i domagająca się pożywienia. Karmy zbudowanej z upstrzonej chmurami nieogarnionej wielkości.

Eliza pchnęła drzwiczki, te zaś, posłusznie słuchając komendy, otworzyły się szeroko nie wydając z siebie najmniejszego nawet dźwięku. „Dziwne, w takich chwilach wszystkie zawiasy skrzypią” – myśl prześlizgnęła się bocznie do uwagi małej podróżniczki. Dziewczynka delikatnie, starając się nie narobić hałasu, który mógłby przywołać do niej cały personel schronu, wygramoliła się ze swojej kryjówki, po czym, znacznie już swobodniejszym ruchem, wyprostowała się i spojrzała na drzwi.

Faktycznie, obok wielkiej, niewiele pewnie cieńszej niż ściana bunkra, płyty oddzielającej ją od świata zewnętrznego – i nieba – znajdował się mały metalowy prostokąt. Widniały na nim cztery rządy

odpowiednio ponumerowanych przycisków, w których kryła się jedyna możliwość podziwiania świata zewnętrznego. Może z wyjątkiem tego małego, zakurzonego okna, ale przez nie i tak nie dało się zobaczyć nic interesującego ani tym bardziej nieskończonego.

Dziewczynka ruszyła w stronę wolności. Tak naprawdę nie chodziło wcale o czysty błękit czy fantazyjnie uformowane chmury – chciała po prostu wreszcie zobaczyć coś wielkiego, rozpiętego nad jej głową i ciągnącego się od jednej strony świata aż do przeciwnej. Urodziła się i przeżyła całe swoje krótkie życie w małych, klaustrofobicznych wręcz pomieszczeniach, przeciskając się przez ciasne korytarze, zasypiając w niewielkim, przydzielony odgórnie pokoiku i bawiąc się na względnie przestronnym, ale i tak niedorównującym powierzchni nawet jednego boiska piłkarskiego, placu zabaw. Nie znała pojęcia przestrzeni – wszystko, co do tej pory widziała, ograniczało się do czterech ścian wojskowo skumulowanego pomieszczenia.

Wciskając klawisze szyfru i wsłuchując się w ich melodyjne tony dziewczynka próbowała przygotować się na to niezwykłe wrażenie. Wyobrażała sobie, że właśnie pękają wszystkie okoliczne ściany, a kiedy ostatnia cyfra zagra swoją melodie, cały schron rozpryśnie się na drobne kawałki, zwracając ludzkości najcenniejszą w jej mniemaniu rzecz, którą odebrała jej wojna – bezkresną, pozbawioną granic przestrzeń.

Bunkier, oczywiście, nie runął, lecz do uszu Elizy wpłynął cichy, szeleszczący dźwięk poruszających się drzwi. Ogromna metalowa płyta zaczęła odsuwać się na bok – tempo nie było zbyt duże – idealnie zgrało się z powoli wzrastającym napięciem, które kumulowało się w zakończeniach nerwowych. Przez stopniowo powiększającą się szczelinę wdzierał się obraz ruiny – ziemia pokryta pożółkłą, chorą trawą, ubraną w jakąś oleistą, powstałą prawdopodobnie na skutek zmieszania pyłu z wilgocią z powietrza, substancję, z pewnością trującą i bardzo groźną. Nieopodal biegła popękana droga – spośród bruzd w asfalcie wytryskały kępki tej samej anemicznej, pozbawionej zieleni roślinności. W pewnym miejscu nawet wytyczoną przez człowieka, pozbawioną opieki trasę potrzaskało wyrastające na lewym pasie ruchu drzewo. Oczywiście, nie przypominało już w najmniejszym nawet stopniu tego, co Eliza widziała w książkach przyrodniczych – było beczułkowate, niskie i w dziwny sposób powyginane. Pień znaczyły nieregularne zgrubienie, być może objaw jakiejś choroby, a może tylko dziwne przystosowanie do środowiska, desperacka próba przeżycia w trudnych warunkach. Liści nie

było wiele i podobnie jak w przypadku trawy, prezentowały się raczej niezbyt imponująco. Jak małe kawałki zużytego papieru toaletowego przyczepione do gałęzi.

„Faktycznie paskudnie tu” – pomyślała dziewczynka – „wygląda jeszcze gorzej niż ten dom przed oknem”. Po chwili oglądania zrujnowanego, pokrytego toksyczną sadzą otoczenia, zrobiła krok przed siebie i zadarła głowę w górę. Jej oczom ukazały się ciemne, ołowiane chmury, próbujące przepchnąć po niebie swoje tłuste, wydęte brzuchy. Poruszały się szybko – najwidoczniej w górnych warstwach atmosfery nadal bardzo mocno wiało, chociaż na powierzchni nie było to odczuwalne – i tłoczyły się, zajmując każdy fragment wolnej przestrzeni i nie pozwalając ani na moment dostrzec tego, co znajduje się ponad nimi.

Były ogromne. Dużo większe niż sobie wyobrażała, dużo większe niż te z książkowych obrazków, prawdopodobnie dużo większe niż cokolwiek na świecie. Eliza obracała głową i jak urzeczona wpatrywała się w chmurne, ciemnoszare niebo. Nie przejmowała się tym, że do jej źrenic nie trafiły czyste, nasycone niebiańskim błękitem promienie słońca ani tym, że nie widziała podobnych do baranków obłoczków. Te przypominały raczej jakieś ponure morskie potwory, armię lewiatanów wędrujących po nieskończonym oceanie, poszukujących zdobyczy i wypatrujących statków, które mogłyby zatopić. I tak były piękne.

Niesłychanie ponure, ale w ten zwodniczy, przerażający sposób wzbudzające rozkosz. Całe wrażenie kryło się w ich ogromie. Dziewczynka wiedziała, że są tylko parą wodną i w tym właśnie momencie w jej umyśle goniła swój własny ogon tylko jedna, jedyna myśl.

– Skąd wzięło się tyle wody? – nieświadomie wypowiedziała ją na głos. Lekki, niemogący unieść z trawy błotnistego pyłu, wietrzyk porwał szept zanim ten dotarł do uszu Elizy. Miliony razy piła wodę. Widziała wielkie zbiorniki, w których trzymano oczyszczoną i zdatną do spożycia ciecz. Wiedziała, że zawsze kiedy odkręci kran, dostanie tyle przezroczystego, pachnącego nieco ściekami, płynu, ile tylko zechce. Była jednak pewna, że nawet cały schron – a według jej rachuby był to ogromny budynek – nie pomieściłby jej tyle, żeby po podgrzaniu wytworzyły się tak ogromne kłęby. Kłęby mogące zakryć całe niebo. Niebo...

Eliza po prostu stała i wpatrywała się w przesuwające się nad nią chmury. Nie wiedziała jak długo to trwało, nie czuła wprowadzającego się już powoli do jej karku, zawołanego przez zbyt długo zadzieraną głowę,

bólu, ani nie słyszała tego, co działo się dookoła. Dźwięki wpełzały do wnętrza czaszki, ale tonęły bardzo szybko w morzu zachwytu, jakie zalało cały jej mózg. Wypełniło wszystkie bruzdy, pokryło wszystkie zakręty, wsączyło się do każdego z nerwów, sprawiając, że wszystko przestało istnieć. Liczył się tylko przerażająco wielki bezmiar pokrytego ponurymi obłokami nieba.

– Dziecko–potwór! – Słowa bez zostawienia w świadomości dziewczynki śladu, rozpuszczały się w otchłani bezmyślnego urzeczenia.

– Skąd wzięło się tyle wody? – zapytała znów samą siebie, zupełnie nie wiedząc, że w ogóle otwiera usta.

Nagle jednak, gdzieś na dnie oceanu płynnego zachwytu, powstała ogromna dziura. Dziura, jak odpływ w kranie powoli kradnąca cały ten ogrom emocji. Tworząca wiry i zaburzająca strukturę, przywracająca władzę nerwom i korze mózgowej, oddająca dziewczynce zdrowy rozsądek. Jeśli można mówić o zdrowym rozsądku w przypadku kogoś, kto bez opieki wychodzi z bezpiecznego schronu i naraża się na niebezpieczeństwa zrujnowanego wojną świata.

Dziurą tą okazało się lekkie szarpnięcie za rękaw ubrania Elizy połączone z pewną siebie, agresywną wręcz wypowiedzią.

– Dziecko–potwór!

– Co? – mruknęła, sama nie wiedząc do kogo i spojrzała w stronę, z której dochodził głos.

U jej stóp, wsparte na jednej ręce, drugą zawieszone o jej rękaw, leżało dziecko. Chłopiec, młodszy od mieszkanki schronu – mógł mieć najwyżej cztery lata. Różnił się od niej nie tylko wiekiem i płcią – nieco zbyt wielka główka w śmieszny sposób kiwała się na beczułkowatym karku, skłaniając się to w stronę jednego, to drugiego ramienia. Skośne oczy oraz dziwna, wykrzywiona twarz sprawiały, że przypominało nieco niektórych kolegów Elizy. Tych mniej mądrych.

Co głupsze dzieci w przedszkolu nazywały ich „niedorozwojami" albo wymyślały jakieś inne, równie przykre przezwiska. Idiota, głupek, skośnooki, pękaty – wszystkie w jakiś sposób odnosiły się do niskiej inteligencji albo dziwnego, odrobinę karykaturalnego wyglądu. Eliza nigdy by czegoś takiego nie powiedziała. Nie tylko dlatego, że całkiem lubiła niektóre z tych osób, ale przede wszystkim ze względu na mamę. Wiedziała, że gdyby dołączyła się do grupy wyśmiewających się, mamie byłoby bardzo przykro. Dziewczynka wiele razy słyszała od niej, że te dzieci wcale nie są od nich gorsze. Co więcej, każdy mógł być taki – to, że

ona miała odrobinę szczęścia i zanieczyszczenie nie przeszkodziło jej w rozwoju, nie znaczyło, że mogła stawiać się odrobinę wyżej.

Podobno to było piętno wojny – większość ciężarnych kobiet, których dzieci miały pecha zostać poczęte w trakcie lub niedługo przed pierwszymi walkami, rodziła upośledzone, a bardzo często martwe lub zupełnie nieprzystosowane do życia niemowlęta. Kończyły one swoją krótką ziemską egzystencję w inkubatorach, pośród lekarzy, którzy ograniczonymi przez wojnę środkami próbowały je uratować, lub w jakiś sposób przeżywały te najtrudniejsze chwile i dołączały do całkiem sporej społeczności dzieci. Jak wiadomo, po każdej szczególnie wyniszczającej wojnie przychodzi czas bardzo dużego przyrostu naturalnego. Najczęściej jednak nowi obywatele są zdrowymi, silnymi i gotowymi do podjęcia wyzwania odbudowy świata osobami. Z tym konfliktem było inaczej – pozabijał większość zdolnych do pracy osób, w zamian za to pozostawiając w powietrzu potworne teratogeny sprawiające, że upośledzenia i deformacje z ciasnych rubryk niewielkich odsetków przeprowadziły się do codzienności.

I bardzo niewiele dzieci rodziło się zdrowych. Eliza miała szczęście być wśród tej grupy i bardzo się z tego powodu cieszyła. Nie zapomniała jednak, że i ona mogła podzielić taki los – ta świadomość, wraz z chęcią zadowolenia mamy, sprawiły, że odnosiła się do swoich pokrzywdzonych jeszcze przed urodzeniem kolegów wyjątkowo przyjaźnie i starała się być maksymalnie łagodna.

– Czemu tu jesteś, powinieneś być w schronie – odezwała się z uśmiechem, wskazując na ogromny budynek stojący kilka kroków za nią. Drzwi były już zamknięte, gdyż automatyczny mechanizm chronił przed zbyt długim kontaktem utrzymywanego przez maszyny mikroklimatu bunkra z coraz czystszym, ale wciąż jeszcze niekorzystnym powietrzem świata zewnętrznego.

– Dziecko–potwór, powiedzieli. – Mały rozmówca Elizy zadarł głowę i z niejakim wyzwaniem popatrzył jej w oczy. Puścił już jej rękaw i zacisnął rączkę na małej, całej usmarowanej toksycznym pyłem zabawce, która na pierwszy rzut oka wydawała się starym samochodzikiem.

– Kto ci tak powiedział? – spytała dziewczynka, schylając się, by podnieść malca.

Chłopak był ubrany jedynie w stare, podarte, zniszczone spodnie, także pokryte rozmazaną warstwą wszechobecnego osadu. Na jego twarzy widniały sporej wielkości czarne mazaje, czasem przedłużające się ku szyi

i spełzające na klatkę piersiową. Przez te osobliwe barwy wojenne przypominał Elizie małego Indianina, który właśnie gotuje się na wyprawę mającą na celu zdobyć kilka skalpów bladych twarzy. Tylko że Indian już nie było, podobnie jak większości rzeczy, o których opowiadano jej w przedszkolu.

– Dziecko–potwór powiedzieli! – wrzasnął chłopiec, odskakując kiedy tylko Eliza się poruszyła.

Pełzł zadziwiająco szybko – odpychał się leżącymi na ziemi nogami, od czasu do czasu pomagając sobie dłońmi, chwytając za wystające z ziemi kamienie czy źdźbła trawy. Dziewczynka nie zdążyła jeszcze zbliżyć do niego rąk, a on już znalazł się kilka metrów od niej, płynąc pośród trującego błota jak płaszczka pomiędzy tworzącymi się na dnie morza wydmami. Przez cały czas wrzeszczał, informując cały świat o tym, że ktoś nazwał go dzieckiem–potworem.

– Nie uciekaj! – krzyknęła za nim Eliza, starając się przebić akustyczny mur zbudowany z jego własnych wrzasków. Miała nadzieję, że ściany bunkra są dźwiękoszczelne, bo w przeciwnym razie za chwilę zjawi się tutaj cały oddział mężczyzn, którzy najpierw zaprowadzą ją do domu, a potem solidnie ukarzą.

– Zły człowiek! – rzucił w jej kierunku chłopiec, jakby dla wzmocnienia wagi słów wyciągając w tę samą stronę palec. Znajdował się już dobre kilkanaście metrów od niej.

– Nie jestem zła! – odkrzyknęła oburzona dziewczynka. – To ci, którzy cię tak nazwali są źli, nie ja!

– Zły człowiek! – podtrzymywał swoje zdanie, pełznąc w stronę najbliższego budynku. Znajdował się już na progu, kurczowo go ściskając, co chwilę spoglądając w stronę mroku rozsypującego się pomieszczenia. Drzwi, oczywiście, już nie było, może leżały gdzieś obok, w kawałkach, przykryte grubą warstwą osadu. Okna też straszyły wybitymi szybami, w jednym z nich dało się nawet dostrzec sterczące z okaleczonych dziąseł, przeraźliwie brudne, szklane zęby.

– Nie możesz tam wejść, ten dom może się w każdej chwili zawalić! – wrzasnęła Eliza i rzuciła się w kierunku dzieciaka.

Nie wiedziała, kim był, ani skąd się tam wziął. Coraz bardziej jednak wątpiła w to, że tak jak ona uciekł ze schronu. Zachowywał się zbyt dziwnie, żeby pochodzić z tego cywilizowanego miejsca – nawet najbardziej chorzy z jej klasy nie uciekali, krzycząc na widok człowieka ani nie pełzali zamiast chodzić. Oczywiście, dorośli mówili, że poza

bunkrem nie ma inteligentnego życia, że oprócz niego jest jeszcze tylko kilkanaście podobnych konstrukcji, ale zasadniczo na otwartych przestrzeniach ludzie już dawno wymarli. Egzystują tam tylko zdeformowane, poskręcane rośliny i kilka gatunków zwierząt, które przetrwały zagładę. Oczywiście, były też, szczególnie powtarzane przez starszych chłopców, plotki o ogromnych, krwiożerczych mutantach, ale odkąd dorośli zaczęli wychodzić na zewnątrz nieuzbrojeni, to nawet najbardziej zaangażowani w wymyślanie takich bzdur zrezygnowali. Niektórzy jeszcze próbowali chronić swoje teorie murami zbudowanymi z wątłych domysłów, że po prostu nikt nie zbliża się do legowisk tych dzikich bestii, albo że owszem, żyją, ale na tyle daleko od schronu, że nie trzeba się przed nimi bronić, lecz w momencie, kiedy odsunęły one od mieszkańców straszliwe zagrożenie, przestały być nośnym tematem.

Teraz jednak Eliza nie dałaby sobie uciąć głowy, że gdzieś, w podziemnych norach nie kryją się ogromne, zmutowane drapieżniki. Skoro bowiem właśnie zobaczyła chłopca zupełnie nie pasującego do schronu, to równie dobrze mogłaby się za chwilę natknąć na sześciometrowego, pokrytego łuskami kota z mackami.

– Zły człowiek! Wszyscy z wielkiego bunkra to źli ludzie! – wrzasnął chłopiec, po czym szybko wpełzł do budynku.

Eliza momentalnie się zatrzymała. Ciemność, jaka panowała w środku zrujnowanego domu dokładnie ukryła małego oszczercę, więc nie było już sensu go gonić. Owszem, mogła wejść do jego kryjówki i próbować po omacku odkryć, co takiego się tam znajduje, że chłopiec uznał rozsypującą się ruinę za bezpieczne schronienie, ale za bardzo bała się tej myśli. Nie potrafiła wyobrazić sobie nawet jak można wejść do pokrytego czarnym szlamem pomieszczenia i stawić czoła nieznanemu, nawet jeśli to mają być inne, podobne do niego, dzieci.

„On może tam mieszkać” – uznała. To była całkiem prawdopodobna ewentualność – nieznane plemię, które w jakiś sposób przeżyło wojnę poza schronem, z pewnością nie sypiało pod gołym niebem. Zresztą, mimo iż budynek z zewnątrz wyglądał na zrujnowany, od środka mógł być w całkiem dobrym stanie. Odnowiony, udekorowany i wzmocniony rękami ludzi na tyle silnych, by nie potrzebowali metalowego bunkra. Ludzi na tyle zaradnych, że potrafili przetrwać najgorsze, w dodatku opiekując się swoimi, wymagającymi przecież o wiele więcej troski niż ktoś zdrowy jak Eliza, dziećmi. Ludzi, którzy uważają ich, mieszkańców schronu, za złych.

„Może to ci dwaj nazwali go dzieckiem–potworem?” – pomyślała dziewczynka, starając się zrozumieć, dlaczego ktoś mógłby traktować zupełnie obcą sobie społeczność jako wrogów. „Może to dlatego twierdzi, że są źli. A widział, że ja wyszłam przez te same drzwi, więc i mnie uznał za złą” – słowa obracały się w głowie, mając nadzieję znaleźć w końcu jakąś bezpieczną przystań. Zbyt dużo pojawiło się pytań, a przecież jest na zewnątrz dopiero kilkanaście minut. Co jeszcze może przynieść ta zwariowana wędrówka?!

Zdezorientowana dziewczynka rozejrzała się dookoła. Okolica, jak zauważyła już wcześniej, nie była zbyt ciekawa – pokryta czarnym, toksycznym szlamem, stanowiąca resztkę jakiegoś całkiem sporego osiedla. Ulica, popękana i poprzecinana żyłkami traw, niewielkie, poskręcane drzewa i zniszczone przez wojnę lub późniejsze lata budynki – czasem rozsadzone przez jakiś wybuch, czasem po prostu upadłe pod własnym ciężarem, o przegniłych ścianach i skorodowanych fundamentach. Wszystko, co wmawiali jej chcący zniechęcić dzieci do prób ucieczki rodzice okazało się prawdą – na świecie nie było już nic wartego zobaczenia. Oprócz nieba – a w nie mogła wpatrywać się godzinami.

Powiodła więc jeszcze ostatni raz wzrokiem po okolicy, mając nadzieję, że zauważy coś ciekawego, zanim zadrze głowę w górę. Nagle zamarła. Kilkanaście metrów od niej, przy drzwiach bloku, który przypominał teraz bardziej skalny, popękany w kilku miejscach blok, niż jakiekolwiek miejsce do zamieszkania, stał mężczyzna. Tak jak w przypadku dziecka – w ogóle nie przypominał ludzi ze schronu. Wiszące na nim postrzępione, znoszone ubranie dawno już utraciło swój prawdziwy kolor – miało teraz szaroczarną, zapewne będącą mieszaniną zwykłego brudu i wszechobecnego szlamu, barwę – a samą twarz przykrywał bujny, krzaczasty zarost. O ile ten szczegół aparycji nieznajomego nie był szczególnie dziwny – choć w bunkrze więcej było ogolonych mężczyzn – to odzież przypominająca bardziej szmaty, jakich używało się do mycia podłóg, była dla dziewczynki bardzo istotnym alarmem, że znów ma do czynienia z obcym.

„Ale przecież poza schronami nie ma ludzi” – przekonywała samą siebie, starając się nadać temu co widzi chociaż odrobinę sensu. Z jakiegoś dziwnego, ukrytego w atawistycznym, pamiętającym jeszcze czasy przodków ludzkości ośrodku mózgu, powodu dużo łatwiej było jej wierzyć w kryjące się pod łóżkiem potwory czy małe wróżki, jakie –

według opowiadanych jej przez mamę bajek – przychodziły do urodzonych po wojnie lub w jej trakcie dzieci i zsyłały im przyjemne sny, niż w to, co właśnie kwitło jej przed oczami. Łatwiej byłoby uwierzyć jej w duchy – o nich przynajmniej czasem opowiadano sobie, kiedy pani w przedszkolu nie słyszała – byłaby zła, że dzieci straszą się nawzajem – a na to, że poza bunkrem istnieją jakieś ludzkie osady nie wpadł jeszcze nikt. Dosłownie nikt.

Mężczyzna tymczasem wydawał się tak samo realny jak przed sekundą. Na jego twarzy pojawiło się nawet coś w rodzaju uśmiechu – smutnego, przykrytego przez ogromne wąsy uśmiechu, podobnego do miny ludzi widzących właśnie obraz budzący jednocześnie radość i współczucie.

– Kim pan jest? – odezwała się Eliza, w ostatniej chwili odrzucając od siebie to, co naprawdę chciała powiedzieć. „Czy jest pan duchem?”. Nie to, żeby tak mocno stąpała po ziemi, by na wstępie odrzucić tę ewentualność, po prostu nie była przekonana, by pytanie kogoś o to czy nie żyje było szczególnie uprzejme. Bo przecież zapytanie czyjejś duszy o to czy faktycznie jest po drugiej stronie bicia serca jest bardzo podobne do zwrócenia uwagi otyłej kobiecie, że ostatnio przytyła.

– Ważniejsze jest to, kim ty jesteś – odezwał się nieznajomy, nieznacznie modyfikując swój wyraz twarzy.

Uśmiech, jaki na niej spoczywał pozbył się nieco ze swojego wcześniejszego smutku, zastępując go zachęcającym do dalszej rozmowy ciepłem.

– Jestem Eliza. Mieszkam w schronie, a pan? – nie ustępowała dziewczynka. Była zbyt ciekawa, by pozwoliła na wypytywanie się o nią, więc wolała sama skierować rozmowę na właściwy tor. Niestety, mężczyzna miał inne plany.

– Skąd się tu wzięłaś? Dzieciom przecież nie wolno wychodzić na zewnątrz – stwierdził, obrzucając ją badawczym spojrzeniem.

Z każdą sekundą coraz bardziej przypominał ducha. Ale nie tego strasznego, jednego z kryjących się w nawiedzonych domach poczwar, których jedyną zabawą jest straszenie żywych, ani nie kreskówkowego, zabawnego dobrego duszka. Jawił się bardziej jako zmarły, pojawiający się w nocnym widziadle, dziadek, jako jakiś starszy krewny, który – korzystając ze szczególnego stanu świadomości, jakim jest sen – spotyka się z członkiem swojej rodziny, by przekazać mu pozdrowienia ze świata, w którym teraz mieszka. Eliza widziała kiedyś film, którego głównej

bohaterce, także małej dziewczynce, groziło wielkie niebezpieczeństwo. Tak wielkie, że aż jej tata, który rok wcześniej zginął w wypadku, powrócił zza grobu, by pomóc jej przetrwać zagrożenie. To spotkanie wyglądało właśnie tak jak jedna ze scen – łzawe i wzruszające pożegnanie protagonistki ze swoim odchodzącym do wieczności po wypełnieniu misji ojcem.

Stojący naprzeciw niej mężczyzna wydawał się być równie niematerialny co tamten, a poza tym wzbudzał podobne uczucia. Spokój, coś w rodzaju nieśmiałej, trzepoczącej na dnie mózgu radości i pewien dziwny, niepoznany jeszcze przez dziewczynkę smutek, nostalgię za tym, co przeminęło, co już nigdy nie powróci, przysypane przez gruzy starego, zniszczonego przez czas świata.

– Jest pan duchem? – spytała wreszcie, nie mogąc się powstrzymać. Nieznajomy zupełnie nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem. Spoglądał na Elizę przez zmrużone, zaćmione bezmyślnym, wylewającym się z płuc rozbawieniem oczy, czekając aż uspokoi się na tyle, by mógł odpowiedzieć.

– Nie, nie jestem duchem – oznajmił, a zaraz potem, nie przestając chichotać, dodał: – ale miło że pytasz.

– Czemu? – Dziewczynka była zupełnie zdezorientowana.

Mężczyzna pojawił się znikąd, w świecie, w którym wymarły nawet rośliny, który oszczędził jedynie lichą, chorą trawę i te dziwne, beczułkowate drzewa. Na wypalonym pustkowiu, w którym nie miało istnieć nic prócz paru zniszczonych zabudowań i nieba, w którym w jednej chwili zginęły miliony ludzi, w którym – tego Eliza sobie nie uświadamiała, ale na jakimś obdartym z dosłowności poziomie rozumiała, co się stało – niemal nie da się postawić kroku, żeby nie nastąpić na czyjś grób. W takim, zamieszkałym już chyba tylko przez widma i strzępki wspomnień, kraju nagle zobaczyła człowieka. Człowieka, który nie ma prawa żyć. Czy to takie dziwne, że wzięła go za ducha?

– Chyba nikt nie chciałby iść na spacer z umarlakiem, co? – Uśmiechnął się nieznajomy. Na jego twarzy nadal widniał lekko rozbawiony uśmiech, ale wydawało się, że mężczyzna zapanował już nad śmiechem.

– Nie pójdę z panem na spacer, mama zabroniła mi chodzić z obcymi ludźmi – oznajmiła, a po chwili, na szybko przypomniawszy sobie resztę wkładanych jej do głowy przez całe krótkie życie rad, spuściła wzrok i dodała – właściwie to w ogóle nie powinnam z panem rozmawiać.

– Wychodzić ze schronu pewnie też – stwierdził mężczyzna, uśmiechając się przekornie.

Dziewczynka rzuciła w niego krótkim, poirytowanym spojrzeniem, ale nic nie powiedziała. Faktycznie – właśnie złamała jeden zakaz, więc czemu nie nakarmić żyjącej w jej umyśle ciekawości i nie wypytać nieznajomego o wszystko, co ją interesuje. Zresztą, jeśli dowie się czegoś ciekawego, jej wybryk może zostać zapomniany – dorośli na pewno dużo by dali za informację, że gdzieś tam, na wypalonych, pokrytych radioaktywnym szlamem pustkowiach, żyje jeszcze jakaś niewielka społeczność ludzi, która bardzo dobrze sobie radzi poza bunkrem. To zmusiłoby mieszkańców schronu do gruntownej przebudowy swojej wizji świata zewnętrznego, byłoby informacją tak doniosłą jak wszystkie wielkie odkrycia, o których oglądała kiedyś film.

„Byłabym jak ci żeglarze opływający świat dookoła" – pomyślała, starając się nie pokazywać po sobie radości, którą ta możliwość w niej wywołała. A był to ogromny, wartki strumień, z każdą sekundą coraz bardziej podmywający grunt, na którym osiedliły się wątpliwości. Jako pierwsze, do wody runęło przekonanie, że nie wolno jej rozmawiać z nieznajomymi – dało się usunąć tak szybko, bo przecież już i tak zaczęła dyskusję z niewidzianym nigdy wcześniej mężczyzną, a jakoś nic się jej jeszcze nie stało. Sekundę później fragment lądu, na którym stał zakaz chodzenia za takimi osobami osunął się i również znalazł się pośród tłukących się o siebie nawzajem fal. Dalej proces potoczył się niezwykle dynamicznie – zahamowania padały całą lawiną, niezwykle szybko odsłaniając jaskrawy, odwracający uwagę klejnot, który wcześniej przykrywały. Kryształ zbudowany z ciekawości i chęci odkrycia czegoś nowego.

– Kim pan jest? – zapytała jeszcze raz, starając się nadać swojemu głosowi możliwe najostrzejszy i najbardziej nie znoszący lekceważenia ton.

– Ciężko to wytłumaczyć – stwierdził, uśmiechając się przyjaźnie – mogę ci pokazać, to z pewnością będzie dla ciebie ciekawsze niż jakaś nudna opowieść.

– Jak to? – Blask odbijany przez fascynację na moment zaćmił cień podejrzliwości.

– Zaprowadzę cię do miejsca, w którym mieszkam. Będzie tam dużo ludzi, których będziesz mogła o wszystko wypytać. Poza tym jest tam ktoś, kto na ciebie czeka.

– Co? – Dziewczynka nie była już zdziwiona czy zdezorientowana.

Była po prostu wstrząśnięta. Właśnie zupełnie nieznany jej człowiek, mieszkający w zewnętrznym, niemal wysterylizowanym świecie, zaprosił ją na swoje osiedle. Eliza nie zadawała sobie pytania jak to się stało, że wcześniej nie spotkało to żadnego dorosłego ani dlaczego właściwie odizolowana społeczność miałaby być dla niej tak miła i zupełnie pozbawiona nieufności. W tej chwili liczył się jedynie fakt, że właśnie stała na progu tajemnicy, która przewróciłaby do góry nogami postrzeganie rzeczywistości wszystkich mieszkańców schronu. Pukała do drzwi rewolucji.

– Wiesz, dlaczego przyszedłem się z tobą zobaczyć? – Mężczyzna, zamiast oczekiwanych wyjaśnień, wypluł z siebie kolejne pytanie. Dziewczynka była jednak zbyt zszokowana, by mieć siłę się z nim kłócić.

– Nie.

– Jeden z chłopców wybrał się na taką samą niekontrolowaną wędrówkę jak ty. Szybko jednak przybiegł, krzycząc, że spotkał jakieś dziecko. Ja poszedłem sprawdzić, czy to prawda. Okazało się, że tak, że zobaczył ciebie – oznajmił nieznajomy.

„A więc to właśnie mały chłopiec powiedział im, że wyszłam ze schronu" – myśl obijała się boleśnie o wewnętrzne powierzchnie ścian czaszki. Była jak orzech, którego słabe dłonie dziewczynki nie są w stanie otworzyć, a który więzi w swojej skorupie jakiś pozornie mało znaczący fakt, bez którego zrozumienie obecnej sytuacji nie jest możliwe. Coś tkwiło pomiędzy informacją, że malec, który nazwał ją złym człowiekiem i mężczyzna, z którym teraz rozmawia, należeli do tej samej grupy. I że to właśnie ten dzieciak zaalarmował o przybyciu Elizy. Coś, czego nie potrafiła dostrzec.

– Kto na mnie czeka? – spytała, odsuwając na razie od siebie tę ukrytą we wnętrzu mentalnego orzecha zagadkę.

– Właśnie ten chłopak – nieznajomy uśmiechnął się, a po chwili dodał: – i jego opiekunowie. I koledzy. I wszyscy nasi znajomi. A najbardziej nasza pani prezydent.

– Prezydent? – powtórzyła mechanicznie, bezskutecznie starając się znaleźć w, obecnie niesłychanie zabałaganionej tą całą sytuacją, pamięci znaczenie tego słowa.

– To ktoś, kto nami rządzi. Wy pewnie też macie w schronie taką osobę – powiedział mężczyzna, a po chwili, kiedy zrozumiał, że dziewczynka nie odpowie, postanowił – chodźmy, szkoda tracić czas.

Nie czekając na odpowiedź Elizy odwrócił się i ruszył w stronę domu, koło którego stał. Dziewczynka, sama nie wiedząc co robi, zaczęła iść za nim. Nieznajomy pchnął przerdzewiałe niemal na wylot drzwi, które posłusznie i zupełnie bezdźwięcznie otworzyły się, ukazując oświetloną migoczącą, anemiczną żarówką klatkę schodową. Ściany pokryte były, choć w dużo mniejszym stopniu niż trawa, tym samym toksycznym pyłem, spod którego wyglądała całkiem sprawnie prosperująca kolonia grzybów. Eliza nie miała nigdy do czynienia z czymś takim – nie wiedziała, czemu gładką, zupełnie normalną powierzchnię szpeci ta dziwna i zapewne niezbyt przyjemna w dotyku narośl. „Może tak kiedyś budowano domy?" – myśl utonęła pośród morza innych równie szybko jak się pojawiła, nie zdążyła nawet zabawić w świadomości na tyle długo, aby do żyjącego co prawda w zupełnie innym świecie, ale całkiem inteligentnego i zdolnego kojarzyć fakty, dziecka dotarła jej śmieszność.

Dziewczynka przekroczyła próg, przyspieszając, by dotrzymać kroku swojemu przewodnikowi. Pierwszym, co uderzyło ją po wejściu do środka, był zapach. Nie zaatakował co prawda natychmiast, odbierając dech i wywołując odruch wymiotny, ale zaczął powoli kolonizować jej nos, delikatnie wsączając się w receptory i niosąc do mózgu informację o bardzo nieprzyjemnej woni. Eliza nie znała pleśni – wszystko, co znajdowało się w schronie, było – jakby w kontraście do świata zewnętrznego – utrzymywane w idealnej, pedantycznej wręcz czystości. Oczywiście, o ile można mówić o czystości w świecie pokrytym trującym pyłem. Żywność dostawała szczelnie, najczęściej próżniowo zapakowaną, zamrożoną lub świeżą, zebraną z umieszczonych poza mieszkalną częścią bunkra szklarni czy hodowli drobiu – nie było mowy o jakiejkolwiek możliwości zetknięcia się z zepsutym jedzeniem.

Zresztą, każdy mieszkaniec schronu otaczał pokarm ogromnym, graniczącym z zabobonnym lękiem, szacunkiem, gdyż mimo wspaniałego zaopatrzenia całej konstrukcji, zarówno mięso jak i owoce, warzywa czy słodycze trzeba było oszczędzać. Oczywiście nikt nie głodował, brak było też ludzi niedożywionych albo pozbawionych dostępu jakichś ważnych dla życia witamin czy makroelementów, ale sam fakt, że zapasy są ograniczone a tempo wytwarzania nowego pożywienia niezbyt wielkie – hodowle, ogródki i wszystkie urządzenia do obróbki żywności działały co prawda wydajnie, ale potrafiły zaspokoić jedynie pewną część potrzeb schronu – okazał się doskonałym nawozem dla kiełkującego już kilka

miesięcy po wybuchu wojny ziarna chomikowania wszystkiego co wpadło w ręce.

Nie do pomyślenia było więc nie tylko marnowanie jedzenia, ale też pochłanianie jego niewyobrażalnych ilości. Każdy dostawał tyle, żeby móc w stu procentach zaspokoić swój głód. Z początku kontrolę nad tym sprawował stres i lęk, bowiem przeciętny mieszkaniec nie wiedział, czy jeśli nie będzie oszczędzał, nie obudzi się pewnego dnia w bezwartościowym, może i dającym schronienie przed toksynami czy promieniowaniem, ale zupełnie pozbawionym czegoś, czym można by się pożywić. Potem zaś, kiedy wszyscy już przyzwyczaili się do nowych warunków, odruchowe odmawianie dokładki stało się czymś tak normalnym, że nie było potrzeby wprowadzać dziwnych reguł racjonowania czy jakichś nakreślonych na szybko kampanii społecznych uświadamiających jak źle jest się objadać.

W schronie wykorzystywane było wszystko. Pleśń, nie tylko ta gnieżdżąca się na resztkach posiłków, ale też pożerająca ściany, praktycznie nie istniała. Dlatego też jej dość intensywny, ale nie agresywnie atakujący nozdrza zapach, od razu dotarł do umysłu dziewczynki. A kiedy już tam się dostał, zaczął powoli uchylać drzwi, za którymi krył się, zamknięty dotąd na klucz przez dziecięcą ciekawość, lęk.

„To wszystko jest takie dziwne" – myślała Eliza – „nawet pachnie inaczej". Co też ją podkusiło, żeby iść za tym dziwnym, pewnie od dawna martwym, mężczyzną? Śledzenie duchów nigdy nie było dobrym pomysłem – może jeden raz, w tym filmie, który przypomniał się jej wcześniej, ale to wyjątek potwierdzający regułę. A teraz, przez zlekceważenie tej świętej zasady, zamiast do ciepłego, odgrodzonego od wszelkich zagrożeń schronu, wchodziła do przerażająco obcego, oświetlanego migoczącym, często wręcz przygasającym światłem przedpotopowych żarówek, śmierdzącego stęchlizną świata. „Prowadzi mnie do krainy zmarłych" – przemknęło jej przez głowę, gdy schodziła po schodach. Szybko, bezlitośnie rozdeptała tę myśl, ale strach i tak zdążył ją wywęszyć zanim zginęła pod podeszwą.

Potęgował go fakt, że właśnie zeszli ze schodów i znaleźli się w bardzo dziwnym, pogrążonym w budzącym grozę półmroku pomieszczeniu. Światło, jakie sączyło się z maleńkich lampek na suficie, wsiąkało w tkaninę wszechobecnej ciemności zanim zdążyło dotrzeć niżej, by ukazać jej oczom twarze bawiących się pośrodku dzieci. Tak, właśnie dzieci – dwójka nieco młodszych od niej szkrabów kucała kilka

metrów dalej i zajmowała swój czas jakąś zabawką, zakrytą przez atramentową czerń lewitującą w powietrzu.

Nagle jeden z nich odwrócił głowę. Przez chwilę wpatrywał się w dziewczynkę i jej przewodnika, po czym z pokrywającej jego oblicze ciemności wypadło znane już Elizie określenie.

– Dziecko–potwór... – Po chwili ciszy, podczas której na twarzy nieznajomego zdążyło rozlać się całe może zażenowania, rozbrzmiały kolejne słowa: – Dziecko–potwór, mówili!

– Nie przejmuj się nim – mruknął mężczyzna, spoglądając z przepraszającym uśmiechem – nasze dzieci czasem opowiadają sobie jakieś niestworzone historie o potworach ze schronu. Wy też na pewno wymyśliliście już milion historii, że na świecie poza bunkrem żyją ogromne bestie.

– Co? – spytała dziewczynka, właściwie tylko po to, żeby się odezwać. W rzeczywistości nie potrzebowała wyjaśnień, choć miała niewielką, tlącą się gdzieś w głowie, nadzieję, że źle zrozumiała to, co właśnie usłyszała.

– Nieważne. – Jej przewodnik machnął ręką przybierając wyraz twarzy sugerujący, że to co się właśnie dzieje jest najmniej istotną rzeczą na świecie.

Eliza była innego zdania. Przez cały czas myślała, że spotkany przez nią zaraz po wyjściu ze swojego betonowego więzienia chłopiec skarżył jej się, że jakiś członek jej społeczności go przezywa. To miałoby sens – w końcu znalazłoby się wielu takich, którzy widząc chore dziecko używali o wiele bardziej nieprzyjemnych określeń. W dodatku malec miałby wtedy powód do nazwania jej i wszystkich jej znajomych złymi ludźmi. W ogóle jednak nie przyszłoby jej do głowy, że wykrzykiwane przez niego słowa nie są wyrazem oburzenia a ekscytacji, jaka wiąże się z zobaczeniem na wpół legendarne istoty, przybysza z innego, sterylnego i nieśmierdzącego stęchlizną świata.

Myśl, że chłopiec nazwał ją dzieckiem–potworem eksplodowała tęczowym rozbłyskiem. Wybuch przeróżnych, niejednokrotnie sprzecznych, szarpiących się zacięcie emocji skutecznie zamaskował swoją wielobarwną kaskadą czający się z tyłu umysłu strach. Dziewczynka już się nie bała, a przynajmniej lęk nie sięgał do świadomości, krył się w półcieniu nieoświetlonym przez przytomny umysł, czekając na dogodny moment by zaatakować. Teraz liczyło się tylko to, że z zupełnie przeciętnego, może trochę wyjątkowego – w końcu była zupełnie zdrowa,

a takie osoby, choć nie były rzadkością, nie były też tak liczne, by nie mieć czegoś w rodzaju statusu szczęściarza – dziecka stała się monstrum. Bestią wychodzącą z głębin schronu, dziwadłem, cudem – a może przekleństwem, kto by tam wiedział – natury.

Nie mniej dziwne było uczucie, które towarzyszyło jej, kiedy powoli uświadamiała sobie, że dla jej żyjących tu rówieśników – a może i całej społeczności – świat zamknięty w dokładnej, niezniszczonej w przeciwieństwie do tej piwnicy, bryle bunkra, wydawał się tak samo obcym i dziwnym miejscem jak dla niej pokryte radioaktywnym pyłem pozostałości miasta, w którym zbudowany został schron. Nie potrafiła po prostu zaakceptować faktu, że coś, co jest dla niej tak zwyczajne i oczywiste jak cztery upstrzone przeróżnymi rysunkami i plakatami ściany czy zdrowe, pieczołowicie przyrządzane przez techników żywności jedzenie dla innych może być równie abstrakcyjne, co do niedawna niebo.

„To okropne!" – pomyślała – „ich największym marzeniem jest pewnie zobaczyć czysty pokój". Jak coś tak potrzebnego do życia może być w jakimkolwiek miejscu towarem deficytowym?

Jej rozmyślania przerwała kobieta. Powoli, z dumą, wychodząca z jednego z pomieszczeń przyległych do tego, w którym się znajdowali. Mijając niezbyt ładną, ale przynajmniej pozbawioną grzyba ścianę – Eliza dopiero teraz zorientowała się, że w tej części budynku ten dziwny, nieznany jej do tego czasu smród jest znacznie słabiej odczuwalny, jakby w ogóle nie istniał – uniosła rękę i musnęła włącznik. Otoczenie zalał ostry, kłujący przyzwyczajone już do półmroku oczy dziewczynki blask. Łzy momentalnie pokryły gładką powierzchnię rogówki, przez co nie dało się zobaczyć wszystkich szczegółów fizjonomii nowoprzybyłej.

– Czyli to prawda? – rozległ się zimny, zdecydowanie nieprzyjemny głos. Przypominał trochę to, co towarzyszy słowom kogoś zmęczonego i zmuszonego do wykonywania pracy, której nienawidzi, tyle samo było w nim niechęci co zniecierpliwienia.

– Tak, Alek faktycznie spotkał dziecko ze schronu – odparł mężczyzna, zaś wciąż kucający pośrodku pomieszczenia chłopiec, jakby dla potwierdzenia słów dorosłego, powiedział tonem, którym wyraźnie chciał zwrócić na siebie uwagę:

– Dziecko–potwór.

Eliza tymczasem, gorączkowo mrugając, by pozbyć się łez zamieniających pole jej widzenia w rój kalejdoskopowych, załamujących światło odłamków, oglądała niespodziewanie wyłowioną z ciemności

okolicę. Na razie nie interesowało jej to, co mówią czy robią towarzyszące jej osoby – była zbyt oszołomiona, zarówno uświadomieniem sobie, że dla nich to ona jest krwiożerczym mutantem, o których mówili jej koledzy z przedszkola, jak i wszystkim innym, co dzisiaj zobaczyła.

Źródłem oślepiającego światła był niewielki, ale – jak się okazało – bardzo mocny reflektor umieszczony w rogu pomieszczenia i połączony z włącznikiem ciemnym, słabo widocznym kablem. Dziewczynka znajdowała się właściwie nie – jak początkowo myślała – w czyimś pokoju, lecz obszernym, w niczym nieprzypominającym klaustrofobicznych przesmyków ze schronu, korytarzu. Ustawione po bokach rzędy drzwi, z których płatami odpadały namalowane starą farbą numery, prowadziły zapewne do pomieszczeń mieszkalnych. I wszystko to wyglądałoby w miarę normalnie, gdyby nie ściana – przypominająca nieco kamień – i fakt, że prawdopodobnie znajdowało się pod ziemią.

Kiedy jej oczy nasyciły się widokiem przerobionej na osiedle piwnicy, wzrok spoczął na tajemniczej nieznajomej, która przed chwilą dołączyła do Elizy, prowadzącego ją mężczyzny i dwójki bawiących się na środku dzieci. Mina kobiety w niczym nie przypominała tego ciepłego, budzącego zaufanie uśmiechu, którym dziewczynkę raczył jej przewodnik. Wyglądała raczej jak stalowa, nałożona na twarz maska, starannie ukrywająca wszystkie emocje, a mimo to budząca niechęć. Spojrzenie zaś było najbardziej lodowatym spojrzeniem, jakie mała mieszkanka schronu kiedykolwiek w życiu widziała. Wydawało się, że było w stanie zamrozić całe niebo – a niebo, wciąż widoczne w wyobraźni, nie przestawało zadziwiać jej swoim ogromem.

– Jak masz na imię? – rzuciła nieznajoma.

– Eliza – posłusznie odpowiedziała dziewczynka, bardziej z przyzwyczajenia niż faktycznej chęci podzielenia się tą informacją.

– Co z nią zrobimy? – spytał mężczyzna, posyłając Elizie spojrzenie pełne otuchy i tego dziwnego, subtelnego ciepła, które doskonale koiło zmrożone przez kobietę fragmenty psychiki.

– Nic. Ktoś ją adoptuje i wszystko będzie jak dawniej – mruknęła dorosła, a po chwili, widząc, że jej wspólnik nie jest zachwycony odpowiedzią, dodała: – może być cennym źródłem informacji. Weź Alka i odprowadź go do rodziców, a ja z nią porozmawiam.

– Dziecko–potwór! – wrzasnął chłopiec z oburzeniem, na co nieznajoma zareagowała jak na ugryzienie przez pszczołę, po czym powiedziała:

– I opieprz jego rodziców za to, że pozwolili mu wyjść. Nie możemy sobie pozwolić, żeby jakieś bachory biegały po ulicach. Jeszcze nie.

– Czyli chcesz uwięzić tę dziewczynkę? – spytał mężczyzna.

– A po co? Po prostu znajdziemy jej nowych opiekunów i będzie tu mieszkać jak każde inne dziecko. Ale najpierw powie nam, co chcemy wiedzieć – usłyszał w odpowiedzi.

– Naprawdę myślisz, że ci powie?

– To dzieciak – prychnęła z lekceważącą miną – czemu miałaby milczeć?

Przewodnik Elizy tylko pokręcił głową i posłał dziewczynce smutne, będące – zdaje się – pożegnaniem, spojrzenie, po czym odwrócił się do bawiących się chłopców. W świetle reflektora widać było wyraźnie, że Alek, bo tak miał pewne na imię, ściska dokładnie ten sam, ubrudzony czarnym smarem, samochodzik, który trzymał wcześniej.

– Chodź, idziemy, mama na ciebie czeka – powiedział mężczyzna.

Jego wspólniczka tymczasem spojrzała wymownie na dziewczynkę, po czym, nie czekając na jej reakcję, ruszyła w kierunku najbliższych drzwi, dokładnie tych, przez które wyszła na korytarz.

– Mówili wam w szkole czy gdziekolwiek indziej, jak to się wszystko zaczęło? – spytała, nie odwracając głowy.

– Nie – oznajmiła dziewczynka ruszając za nią. Kobieta szła szybko, nie przejmując się tym, czy dziecko nadąża za jej krokami, jakby przez cały czas się gdzieś spieszyła. W ogóle sprawiała wrażenie jakby ani Eliza, ani nieznajomy, który właśnie odprowadzał gdzieś dwóch chłopców, ani cała ta piwnica i, być może, reszta świata, w ogóle jej nie obchodziły, jakby jej osoba i jakieś enigmatyczne, znane tylko jej sprawy były znacznie ważniejsze od wszystkiego, co ją otaczało. Wydawało się wręcz, że jest poirytowana tym, iż musi zajmować się wszystkim innym.

– A wiesz chociaż, co to za państwo? W ogóle mówili wam, że istnieje coś takiego jak państwa? – dopytywała nieznajoma.

– Państwo? – zdziwiła się dziewczynka.

To było kolejne słowo, którego nie znała. Kolejne zjawisko, o jakim nie miała pojęcia. Cały wszechświat, dotąd ograniczony przez ściany schronu, nagle nie tylko uległ rozszerzeniu do nieskończoności, ale też stał się niesamowicie obcym i nieprzyjaznym miejscem. Wszystko, co dotąd było doskonale poukładane, wepchnięte wręcz w swoje miejsce, teraz powypadało, zawieruszyło się gdzieś pośród wszechobecnego chaosu. Ucieczka ze schronu, spotkanie przezywającego ją chłopca, a

potem tego miłego mężczyzny, a wreszcie nieprzyjemnej, zniecierpliwionej kobiety – każdy z tych czynników wystarczyłby, żeby przewrócić życie dziecka do góry nogami. Kiedy wszystkie zebrały się w grupie, nie było już czego przewracać. Poczucie bezpieczeństwa zostało zdezintegrowane.

A najgorszym było przeczucie, że ten spokojny, posegregowany świat nigdy nie wróci. Bo przecież nawet jeśli dziewczynka znów znajdzie się w bunkrze, kiedy na nowo będą się nią opiekować mądrzy dorośli ludzie, którzy wiedzą jak wszystko uporządkować i jak ochronić ją przed całym tym bałaganem, nadal będzie miała świadomość, że gdzieś tam, za oknem albo po drugiej stronie drzwi, istnieje nieskończoność, nieskończoność wypełniona setkami, jeśli nie milionami, nieznanych, może przerażających, albo nawet niebezpiecznych rzeczy.

– Państwo to taki duży teren, na którym mieszkają ludzie. – Głos idącej przed nią kobiety zadziałał jak kubeł zimnej wody, natychmiast przywracając Elizę do rzeczywistości. – To ważne, bo świat wygląda tak właśnie dlatego, że ludzie mieszkający w wielu różnych państwach zaczęli ze sobą walczyć.

– Może mi pani o tym opowiedzieć? – spytała dziewczynka, mając nadzieję, że ktoś wreszcie chociaż trochę rozwieje tę gigantyczną chmurę informacyjnego smogu.

Jej rozmówczyni westchnęła. Odwróciła głowę w jej stronę i cisnęła w nią skumulowaną w spojrzeniu bryłą lodu. Dziewczynka, niedoświadczona jeszcze w potyczkach tego rodzaju, nie uchyliła się odpowiednio szybko i cała jej pewność siebie została w jednym momencie zmieciona z powierzchni ziemi. Wszystko zaś co chroniła stało teraz bezbronne, zupełnie nie osłonięte przed atakami groźnie wyglądającej kobiety.

– Miałam nadzieję, że o to nie poprosisz.

– Czemu? – spytała Eliza, rozglądając się dookoła.

Właśnie weszły do małego, ładnie urządzonego pokoiku. Oświetlała go dokładnie taka sama lampka jak te niedające sobie rady z rozsiewaniem blasku na korytarzu, tutaj jednak trzeba było o wiele mniej mocy, więc pomieszczenie wypełniał nie półmrok, a migocząca, niezbyt wyraźna poświata. To już coś lepszego.

Kobieta, znów nie oglądając się na swoją małą towarzyszkę, usiadła na ustawionym pod ścianą łóżku. Nie było ono szczególnie wielkie, ale w

groteskowo małym pokoju sprawiało wrażenie ogromnego łoża godnego królów albo wyjątkowo otyłych małżeństw.

– Bo muszę ci to powiedzieć, żebyś chciała z nami współpracować – stwierdziła nieznajoma z kwaśną miną. Wyraźnie widać było, że bardzo nie chce robić tego, co właśnie zacznie. – Zacznijmy od tego, że państwo, w którym żyjemy, nazywa się Polska. Nie wiemy czy obecnie istnieją jakieś inne, są nikłe informacje, że ktoś przeżył na Ukrainie, ale sama rozumiesz, mamy teraz na głowie ważniejsze sprawy niż robienie spisów ludności.

– Spisów ludności? – spytała dziewczynka, ale kobieta zupełnie ją zignorowała i opowiadała dalej:

– Twoich odrobinę starszych kolegów pewnie uczą w szkołach, że ta nasza piękna Polska została napadnięta przez bandyckich najeźdźców, zbombardowana i spalona. – Po jej twarzy przebiegł groźnie wyglądający, wykrzywiony uśmiech, który na pewno nie miał nic wspólnego z wesołością. – Jakież to typowe... Zawsze zrobimy z siebie ofiary. Ale nie, tym razem było zupełnie odwrotnie. To my rozpoczęliśmy ten cały cyrk.

– Jak to? – dopytywała Eliza.

Wszystko, co do tej pory było w jej mniemaniu krystalicznie czyste i śnieżnobiałe, uległo zepsuciu. Na przepięknej tkaninie schronu, który był dotychczas symbolem resztek ludzkości, które ocalały, wykwitły brudne, zakrywające nici wyjątkowości plamy. To jeszcze byłaby w stanie znieść – w końcu trzeba się tylko cieszyć, że więcej osób przetrwało katastrofę. Jednak fakt, że kraj, którego obywatelką była jest odpowiedzialny za rozpętanie atomowego piekła, które pogrzebało świat pod toksycznym pyłem, była zbyt niestrawna, by dziewczynka natychmiast jej nie zwróciła.

Umysł po prostu odrzucił zmielony już nieco próbą zrozumienia fakt, wydalił go z siebie, jakby zupełnie nie istniał, albo jakby był odpadkiem, czymś nie tylko niepotrzebnym, ale też szkodliwym. I tak mogłoby się to skończyć, gdyby nieznajoma nie kontynuowała:

– Przez lata nie mieliśmy broni atomowej, z biologiczną i chemiczną też był problem. I to jest fakt, to ktoś inny zamienił Ziemię w śmierdzące radioaktywną spalenizną gówno, ale gdyby nie my, nigdy by do tego nie doszło. A właściwie gdyby nie jedna osoba.

– Prezydent? – spytała Eliza, przypominając sobie enigmatyczne słowo, które poznała kilkadziesiąt minut temu.

– Nie. – Nagle wzrok kobiety stał się jeszcze bardziej lodowaty. Jakby chciała pokroić nim swoją rozmówczynię na kilkadziesiąt skurczonych, zamarzniętych kawałków. – Prezydentem jestem ja. Jasne, dopiero teraz, kiedy to wszystko się działo, był nim ktoś inny, ale to nie zmienia faktu, że prezydent nie miał z tym nic wspólnego. – Zamilkła, a po kilku sekundach, jakby potrzebnych na przemyślenie wszystkiego, podjęła urwany wątek: – To była pani minister. Nasza zasrana pani minister, nieważne czego, i tak nie zrozumiesz, to coś związanego z wojskiem. Zaczęła od bardzo udanego dowodzenia armią i przeprowadzenia kilku spektakularnych akcji. Z uwagi na swoje zasługi, albo fakt, że jej ministerstwo czekało na kogoś innego, została awansowana. Nie musisz wiedzieć gdzie, na jakąś teoretycznie ważniejszą, ale dającą mniej władzy funkcję. Tylko że ona i tak stała się do tego czasu tak cholernie wpływowa, że bez problemu manipulowała zarówno wojskiem jak i całym rządem. Pewnie dziwi cię, jak jeden człowiek może zyskać tak wielką potęgę?

– Właściwie... nie – powiedziała zupełnie zdezorientowana dziewczynka kiedy cisza zaczęła się przedłużać i zrozumiała, że kobieta czeka na odpowiedź.

– Nieważne. O drugiej wojnie światowej i tym, jak na szczyty dostawali się dyktatorzy pewnie też was nie uczą, a już na pewno nie takich kilkulatków jak ciebie, więc i tak byś nie zrozumiała, o czym mówię. W każdym razie, tamta kobieta wspinała się coraz wyżej. A jej cholerne poglądy, że powinniśmy być silni, podporządkowywać sobie coraz większe obszary gospodarczo i politycznie doprowadziły do coraz większej niechęci innych krajów. Chyba wszystkie organizacje międzynarodowe nałożyły na nią jakieś sankcję, ale nic sobie z tego nie robiła. W końcu doprowadziła do wybuchu wojny. Wojny, z której Polska miała wyjść odnowiona i potężna, rządząca całą Europą i pewnie jeszcze kawałkiem Azji czy innej Afryki. I myślę, że chyba wtedy jej odpieprzyło. W którymś momencie po prostu nie wytrzymała presji i się załamała. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Tak – powiedziała Eliza, choć w rzeczywistości rozumiała niezbyt wiele, zaś to, co potrafiła pojąć, szczerze mówiąc niezbyt ją obchodziło.

Prezydent tej dziwnej społeczności jednak najwyraźniej w ogóle nie przejmowała się wielkimi oczami swojej słuchaczki i miną mówiącą, że nigdy w życiu nie była bardziej zagubiona. Po prostu tłumaczyła dalej:

– Kiedy zorientowała się, że jednak nie jesteśmy aż tak mocni, żeby brać się za bary z całym światem, kompletnie zwariowała. Większość osób rządzących państwem, w tym ja, bo byłam jedną z posłanek, zdecydowały przejąć władzę i postarać się zminimalizować straty wojenne. Wiadomo, że gdyby ta idiotka nadal wszystkim dowodziła, mielibyśmy kompletnie przechlapane. Ona, kiedy w jakiś sposób dowiedziała się, że chcemy ją odsunąć od władzy i wsadzić do paki, zrobiła coś, czego nikt się nie spodziewał. Zebrała grupę bliskich sobie ludzi i ogłosiła, że są miejsca w zbudowanym niedawno schronie przeciwatomowym. Większość ludzi, oczywiście, zignorowała ten fakt, bo nic nie zapowiadało, że będzie potrzebny. Owszem, wojna była okrutna i krwawa, ale jak na razie nikt nie skorzystał z broni masowego rażenia. Ale było nas wtedy trzydzieści milionów, znalazło się sporo osób chętnych na te miejscówki. W ten sposób zapełniła cały bunkier, a potem sama do niego uciekła. Wcześniej jednak wysłała wszystkie siły wojskowe, i nie żartuję tutaj, wszystkie, jakie miała, każdego pieprzonego żołnierza, do ataku na irańskie elektrownie jądrowe. Co było wbrew wszystkim zasadom, bo Iran nawet nie uczestniczył w wojnie.

– I co? – dopytywała Eliza próbując ustawić sobie w głowie fakty, unikając ich jeszcze większego mieszania.

Na twarzy kobiety pojawiła się tymczasem wściekłość. Wściekłość osiadła na jej skórze, zagnieździła się w tęczówkach, a potem spłynęła też do jej głosu. Spojrzenie nie było już lodowate – teraz parzyło. Piekło nieskończoną furią, jak morze lawy albo płynnego metalu, a gdyby ono nie zadziałało, na pomoc przybywały słowa, słowa wyrzucane pojedynczo z jej ust, przepełnione taką ilością jadu, że wystarczyłaby do wytrucia średniej wielkości miasta.

– I nic. Iran, kiedy dyplomacja nie zadziałała, odpowiedział ogniem – wypluła z siebie. – A że było to państwo gospodarczo dosyć wyniszczone, nie mogło sobie pozwolić na armię, która powstrzymałaby naszych najeźdźców, więc odgrzebało zmontowane w zamierzchłych czasach bomby i posłało świat do grobu. Oni zrzucili bomby na nas, komuś się to nie spodobało, zaatakował ich i kaskada zdarzeń zmieniła Ziemię w wypaloną skorupę. Ci, którzy schowali się w schronach przeżyli, reszta miała umrzeć. Na szczęście skażenie nie okazało się aż tak zabójcze. Owszem, wymarła większość, według niektórych szacunków nawet siedemdziesiąt pięć procent, ale reszta całkiem nieźle sobie radzi. Oczywiście, liczebność następnych pokoleń jeszcze się zmniejszy, bo

większość dzieci jest upośledzonych i najczęściej bezpłodnych, albo w ogóle rodzi się martwa. Ale jakoś sobie poradziliśmy, a te pieprzone tchórze za bardzo bały się wyściubić nosa ze swojej krypty, żeby się o tym dowiedzieć. I dlatego musisz nam pomóc. Tam, w tym twoim bunkrze, są bardzo niebezpieczni ludzie. Kobieta, która poświęciła cały świat, żeby uratować swoją władzę! Nie możemy dopuścić do tego, żeby znowu dostała się na szczyt. Ani ona ani jej współpracownicy. Musisz powiedzieć nam wszystko, co wiesz!!!

Pani prezydent wrzeszczała. Prawdopodobnie sama o tym nie wiedziała, zbyt pochłonięta płonącą w niej złością, by zwrócić uwagę na taki detal. Jej twarz nie przypominała już oblicza człowieka, była bardziej jak owładnięty nienawiścią pysk demona, wyjąca bestia zdolna tylko i wyłącznie do tępienia swoich wrogów. A wrogiem tej tutaj okazała się społeczność, z której przybyła Eliza. Dziewczynka znów się bała. Teraz o wiele bardziej, widziała bowiem ogarniętą furią przywódczynię ludu dużo lepiej znającego życie na powierzchni i prawdopodobnie liczniejszego niż mieszkańcy schronu. Społeczności skrzywdzonej, doprowadzonej do ostatecznego upadku, przepojonej żalem i być może chęcią zemsty. Nic więc dziwnego, że Eliza nie chciała tutaj być. Zwłaszcza że zemsta mogła zostać dokonana na niej.

– Nie wierzę! Nie wierzę w ani jedno słowo! – wrzasnęła, choć wiedziała, że istniały poszlaki, które wskazywały na to, że kobieta jednak ma rację. Na przykład chłopiec, który nazwał ludzi żyjących w bunkrze złymi.

– To pokażę ci, że nie żartuję. Pokażę ci zdjęcie osoby, przez którą to wszystko się stało. Jestem pewna, że widziałaś ją już co najmniej kilka razy i ją rozpoznasz. Pewnie, to nie da ci pewności, że mówię prawdę, ale będziesz wiedzieć, że nie wyssałam tego z palca i że taka kobieta naprawdę istnieje! – przekrzyczała ją prezydent. – Przygotowałam je sobie specjalnie na taką okazję.

Wsunęła dłoń do kieszeni, po czym, groźnie łypiąc na dziewczynkę pałającymi nienawiścią oczami, wyjęła złożoną na pół starą, postrzępioną kartkę. Bezlitośnie szarpnęła za jedne z rogów, po czym papierowe więzienie nagłym ruchem ukazało dziewczynce to, co ukrywało.

Kiedy Eliza to zobaczyła, wszystko, co znajdowało się w jej żołądku, nagle ruszyło w stronę przełyku. Mdłościom towarzyszył nagły atak apatii. Apatii będącej jednak cisza przed burzą – stanem, w którym wszystkie nagromadzone przez dzień emocje zbijają się w jedną

gęstniejącą kulę i czekają na moment, w którym będą mogły wybuchnąć. A moment ten zbliżał się niesamowicie szybko.

Dziewczynka była bowiem w stanie strawić, choć z trudem, zniszczenie wpajanej jej od urodzenia wizji całkowicie wymarłego świata, mogła też, nie bez niemożliwej do zagojenia rany na psychice, zrozumieć, że do tego wszystkiego doprowadzili jej rodacy, że duża część ludzi w schronie jest pośrednio lub bezpośrednio odpowiedzialna za cały ten bałagan. Nawet fakt, że codziennie mijała osoby, które wydały rozkazy skutkujące śmiercią tysięcy, a może nawet milionów, nie był zbyt okrutny. Że na rękach, które wpisywały do komputerów dane pozwalające na zarządzanie całym bunkrem jest ukrywana przed wszystkimi młodymi mieszkańcami krew. Wszystko to byłaby w stanie znieść, ale ten wstrząs okazał się za silny.

Nie zrozumiała zbyt wiele z tego, co mówiła jej prezydent. Słownictwo tej kobiety było zbyt dziwne i zbyt często odwoływało się do realiów zupełnie obcych Elizie, by mogło skutecznie do niej trafić. Udało się jednak wyłuskać z niego esencję, kilka najważniejszych informacji, tego, co było potrzebne ogólnikowego pojęcia sytuacji. Dawno, dawno temu była jakaś wojna, do której doprowadziła zła kobieta. Kiedy ludzie się zbuntowali, uciekła do bunkra i sprawiła, że świat został zniszczony. Wszyscy jej przeciwnicy mieli umrzeć, ale okazali się zbyt twardzi i teraz to oni rządzą powierzchnią a mieszkańcy schronu nie mają o tym pojęcia. Tyle.

Osią całej opowieści była nienawiść prezydent do tej demonicznej przywódczyni armii. Słowa i ton, w jaki zostały wypowiedziane dawały jednoznacznie do zrozumienia, że ta kobieta jest zła, że jest odpowiedzialna za zagładę środowiska i wielu milionów ludzkich istnień. Dlatego też, kiedy dziewczynka oglądała pokazaną jej kartkę, kiedy wpatrywała się w widniejącą na niej osobę i lewitujące nad nią logo partii politycznej – widocznie był to plakat wyborczy – czuła, że coś w niej umiera. Że powoli ze szczelin roztrzaskanej psychiki ulatnia się śmiertelny gaz. Gaz, który zabije jej dzieciństwo i uśmierci wszystko, w co wierzyła.

Z plakatu bowiem patrzyła na nią jej mama.